ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.

Ner 97. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — 1834.

DWAJ MALARZE.

W połowie panowania Ludwika XIV, w wieku tak obfitym w talenta i sztuki najwyższej doskonałości, było w Paryżu dwóch artystów, sławnych z podobieństwa do siebie i z swego talentu. Nazywano ich *Bobruns*.

Oba malarze, młodzi, piękni, w równym wieku, bracia stryjeczni, przyjaciele nierozdzielni, od dzieciństwa razem wychowani, mieli jednakowe ułożenie, ruch, postawę i jednakowe zwyczaje. Natura zdawała się silić na to, aby te dwie istoty nie tylko twarzą, postacią, ale nawet czuciem, charakterem, gustem, sercem i talentami w niczem się nie różniły.

Malowali zupełnie w jednakowym guście i w równym stopniu doskonałości; pełni dobroci, czułości, wesołości, dowcipu, pisali wiersze, piosnki, małe komedyje, grali na instrumentach muzycznych i śpiewali przyjemnie.

Ubierali się zawsze jeden jak drugi, i ta jednostajność we wszystkiem jakieś czarowne temu podobieństwu nadawała omamienie; nigdy nierozdzielni, kochali się na wzajem, i przyjaźni ich żadna zazdrość zachwiać nie mogła. Chwalić jednego, to samo i drugiemu przyznać wypadało. I częstokroć, za grzeczność powiedzianą jednemu, oba dziękowali.

Rozróżniano ich tylko imionami, ale i te były do siebie podobne: Julijusz i Julijan. Malowali oni tylko portrety, ale zachowując najtrafniejsze podobieństwo, dawali figurom jakiś uroczy pociąg przez piękny układ i rysunek, przez wyraz w twarzy, doskonałe wykończenie i odbicie kolorów. Robili portrety Ludwika XIV i pierwszych osób w Paryżu. Wesoły ich dowcip zwabiał bezustannie osoby najznaczniejsze z miasta. Ich sala do malowania była zawsze najprzyjemniejszem napełniona towarzystwem, i można było sobie mieć za chlubę, aby się w niem znajdować. Widziano tam kobiety, będące w ten czas najbardziej w modzie; artystów najsławniejszych, poetów i urzędników. Pociąg rozmowy żywej, dowcipnej, i żądza podobania się, były podstawą tego zgromadzenia.

Jeżeli gdzie byli wezwani do robienia portretu, zawsze szli razem, i gdy jeden robił portret, drugi śpiewał, przygrywając na gitarze (*) Do tego stopnia posiedzenia były przyjemne, że czasami dla tego tylko kazano się malować, aby mieć przyjemność widzieć ich i słyszeć. Tak byli oni w modzie, że malowali wszystkie piękności, w które wiek ten tak był obfity, jak w sztuki i talenta.

Razu jednego Bobrunowie byli wezwani do pewnej młodej osoby, słynącej z piękności, która życzyła sobie, aby w jej domu portret mógł być zrobiony. Była to jedynaczka, córka bo-

(*) Wszystkie te szczegóły są zupełnie historyczne.

gatego złotnika; imię jej było Elmira, miała lat dziewiętnaście, charakter jej, trochę romansowy, był przyczyną, że dotąd za mąż nie poszła, a ojciec, aby nie wyliczyć znacznego posagu, nie przynaglał ją do tego.

Elmira, pozbawiona matki w kolebce jeszcze, znalazła starania macierzyńskie w przywiązaniu siostry swego ojca, która, ciesząc się towarzystwem kochanej synowicy, zupełnie się nie gniewała na tę trudność w wyborze męża. Oprócz tego sama Panna Krepin (to było imię starej cioci) nie chciała nigdy poddać się w jarzmo małżeńskie. Mało prawda ludzi życzyło sobie włożyć ten ciężar na nią: była brzydką i ułomną, co przyczyniło się niemało do dania jej bardzo złej opinii o mężczyznach, a szczególniej o młodych, i głośno potwierdzała tę nieporywczość swej synowicy do małżeństwa. Jednakże Panna Krepin, chociaż dewotka zrzędna i siebie zawsze wystawiająca za przykład, była w gruncie bardzo dobra osoba.

Bobrunowie, podług zwyczaju przybyli, poprzedzeni gitarą, i przyjęci zostali w pokoju Panny Krepin, który był na to przeznaczony. Julijusz i Julijan zachwyceni zostali pięknością Elmiry, z swojej strony ta młoda osoba uważała ich także z zadziwieniem. Przyjemność ich i podobieństwo, zajęły ją niezmiernie. Julijusz zaczął robić portret, a Julijan grał; później ten wziął pędzel, a tamten gitarę. Elmirze posiedzenie to zdawało się krótkiem, a po odejściu długo o nich z ciocią rozmawiała. »Co za talenta, mówiła, jak oni malują, jak śpiewają pięknie! jak grają! jak oni są podobni do siebie! i jak jest zajmującem to ich połączenie!« — »Tak! odpowiedziała ciocia, to interes, co ich łączy; mężczyzni są fałszywi, zdradni, tak w przyjaźni jak w miłości.« — »Jednakże tych cały świat chwali. Powiedz mi moja ciociu, który się jej bardziej podoba?« — »Ja nigdy nie patrzę na mężczyzn, i w tem, Elmiro, powinnaś mię naśladować. W twoim wieku szczególniej, jam nigdy nie spojrzała na mężczyznę, i mogłam bydź z nim cały dzień w jednym pokoju, nie wiedząc, jakiego koloru jego suknia.« — »Ale moja ciociu, kiedy się kto każe malować, to musi patrzeć na swego malarza.« — »Ja także tego nie chwalę, że młoda osoba każe się malować.« — »A czyż w tenczas trzeba kazać robić swój portret, kiedy się człowiek zestarzeje?« — »Trzeba, żeby kobieta nigdy nie pozwalała siebie malować. Ja w moim wieku nigdybym nie zniosła tego ciągłego i ciekawego wpatrywania się mężczyzny, siedzącego przedemną, dla egzaminowania mnie. Kto tylko ma cokolwiek skromności, to uzna, że to jest rażącem; mówiłam to twemu ojcu, ale się uparł, aby mieć twój portret.« — »Ciocia więc nie patrzała na nich, ależ słyszała ich śpiew; któryż ma przyjemniejszy głos, czy ten co pierwszy śpiewał?« — »Ja robiłam pończoszkę, nie uważałam, a potem ich głosy tak są podobne!« — »To prawda, ale mi się zdaje, że głos Julijana ma coś czulszego i przyjemniejszego.« — »Julijan, powiadasz? mnie to dziwi, że już możesz ich po imionach nazywać.« — »Tak jest, ja uważam głos Julijana, ale Julijusz śpiewa równie dobrze, a może i lepiej jeszcze; obadwaj są bardzo przyjemni, i gdyby tego potrzeba było, ciężkoby dać jednemu z nich pierwszeństwo.«

Koniec tej rozmowy mógłby zrobić jakie wrażenie na Pannie Krepin, ale ona zajęta była liczeniem i spuszczaniem oczek przy zaczęciu pięty w pończoszce.

Wieczorem kładąc się, rozmawiała jeszcze Elmira z swoją służącą o Bobrunach i dowiedziała się od niej, że idąc po wschodach, mówili do siebie o jej piękności i zajmującej twarzy.

Nazajutrz, gdy znowu dwaj bracia przybyli do domu Panny Krepin, Julijan zaczął malować, lecz widząc, że mu się nie udaje, zatarł i zaczął na nowo. Potem, podług zwyczaju przemijając się, malowali, grali i śpiewali. Ale tego dnia mało co śpiewano, i najwięcej wdawono się w rozmowę. Często zwracali oni rozmowę swoją do P. Krepin, dla uskarbienia jej łaski: jakoż potrafili jej się podobać. Trzeba wiedzieć, że Panna Krepin, mimo swej srogości dla mężczyzn, niezmiernie jednak była czułą na najmniejsze ich grzeczności. I chociaż to posiedzenie nierównie było dłuższem od pierwszego, nikt przecież tego nie uważał; a ciocia z własnego natchnienia zaprosiła ich, aby jutro zechcieli przybydź na obiad, za co siostrzeniczka bynajmniej się nie gniewała.

Tego dnia nie było posiedzenia; Bobrunowie przez swój dowcip, grzeczność i rozmowę, podobali się bardzo ojcu i cioci. Wieczorem, gdy odeszli, Panna Krepin sama zaczęła ich chwalić, a szczególniej Julijusza, który z nią więcej rozmawiał; Elmira wzdychała i była nieco zamyśloną.

Przy trzeciem posiedzeniu, dwaj przyjaciele zupełnie zyskali dla siebie serce Panny Krepin, przyniosłszy jej ładny mały wizerunek jej własnej postaci. Ale zamiast karykatury, zrobili ją przyjemną i młodszą. Wyobrażona była P. Krepin z pończoszką w ręku, z prostą figurą i twarzą bardzo piękną, ale wcale do niej niepodobną.

Ta grzeczność niezmiernie ujęła ciocię, za którą gdy ukończyła oświadczenia swojej wdzięczności, Julijusz usiadł do malowania, a patrząc smutnie na portret, powiedział: »My nigdy nie skończymy portretu!«—»Dla czego nie?« odezwała się Panna Krepin; nie odpowiedziano jej, jak przez westchnienie. »Nie trzeba tracić odwagi, dodała, komu tak łatwo schwycić podobieństwo; mnie tylko z pamięci a takeście podobną zrobili.«— Po tych słowach, Julijusz zaczął malować, Pani Krepin robić pończoszkę, a Julijan, po niejakiem milczeniu, wziął gitarę i głosem wzruszonym z cicha wymówił, że będzie śpiewał o malarzu zakochanym. Panna Krepin, oddana jak zazwyczaj swej robocie, nie usłyszała tego ogłoszenia, Elmira się zarumieniła, a Julijan zaczął śpiewać aryją, której pierwsza zwrotka malowała uczucia malarza ku młodej osobie, której musiał robić portret, a gdy kończył: że nie mogąc dobrać dość pięknych kolorów, nieposłuszny pędzel wypadł mu z ręki, zdradzając jego tajemnicę; Julijusz się zatrzymał i swój upuścił... Elmira zadrżała i spuściła oczy; Panna Krepin, która ledwo w połowie słyszała wyrazy piosnki, a rzadko kiedy zrozumiała jej znaczenie, domyślając się jednak, że coś nadzwyczajnego zaszło, spuściła jedno oczko, przestała robić, zdjęła okulary i zapytała: co się stało? Julijusz podniósł się i powiedział: »Oto, chcę zająć miejsce Julijana.« Jakoż przemienili się: Julijan wziął pędzelek, a Julijusz zaczął śpiewać ostatnią zwrotkę, i gdy wyrażał: że niespokojny, niepewny, nie śmie wznieść oczu na swój model, a nieposłuszny pędzel, również zdradzając jego tajemnicę, wypada mu z ręki; na te słowa i drżąca ręka Julijana także pędzel upuszcza. —»Jak to, powiedziała Elmira, obadwaj!...«— »Tak jest, zawołali razem; my nie mamy, jak jedną duszę, i jedno uczucie nami włada...« a mówiąc to rzucili się do nóg P. Krepin, zaklinając ją, aby wspierała ich miłość... Panna Krepin, która nigdy nie widziała nikogo u nóg swoich, była w głębi duszy bardzo ucieszoną z tego hołdu i niejaki czas zmieszaną; nakoniec uważając onych jednego po drugim, wyrzekła: »Cóż to, oba chcecie zaślubić moją synowicę?... —»Niech wybiera pomiędzy nami, szczęście jednego będzie drugiego pocieszać. Niech nam pozwoli tylko powiedzieć o tem jej ojcu....« »Co mówisz na to Elmiro,? zapytała ciocia.«—

»Ja nie bronię tym Panom mówić z moim ojcem, ale sama potrzebuję czasu do namysłu, i nic nie przyrzekam.«— To wymówiwszy, wyszła jak najspieszniej, a Bobrunowie błagali P. Krepin, aby im nie odmawiała swojej protekcyi.

Panna Krepin, przyzwyczajona do nienawidzenia mężczyzn, nie była tą razą tak srogą: z dobrego serca na wszystko zezwoliła; ale dłuższa rozwaga oziębiła nieco te dobre chęci. Myśl utracenia synowiczki i pozostania samej tylko przy sterze domowych interesów i handlu, mocno się sprzeciwiała życzeniom pretendentów; postanowiła zatem przeszkadzać im skrycie z całej swej mocy, ale tak zręcznie, aby się to nie wydało.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Hogarth i kareta jego.

Człowiek musi wezwyczaić, nałożyć się do szczęścia i zbytku; nie umie od razu używać korzyści, które mu zjedna talent, praca, a niekiedy przypadek, tak mocno wpływający na przeznaczenie nasze.

Gdy sławny Hogarth, malarz londyński, miał pierwszy raz w życiu własną karetę, pojechał odwiedzić Lorda-Majora. Pogoda była przepyszna, cieszył się, jak dziecię, iż we własnym powozie przebiega długie i piękne ulice, potem znowu uliczki ciasne i ciemne, pełne zatrudnionego tłumu. Wszędzie jenijusz jego znachodził jaki pomysł do nowej karykatury. Lord-Major przyjął go z szczególniejszem poważaniem, rozmowa ich była tak żywą i zajmującą, iż nie postrzegli, kiedy noc nadeszła a z nią deszcz ulewny.

Hogarth pożegnał nakoniec Lorda-Majora, i wyprowadzono go z Ratusza inną bramą, nie tą, którą przybył. Gdy się ujrzał na ulicy, zaczął wołać fiakra; lecz w Londynie, równie jak po wszystkich wielkich miastach, najtrudniej ich dostać, kiedy ich najbardziej potrzeba. Hogarth, nie mogąc się żadnego dowołać, zniecierpliwiony poszedł piechotą, chociaż deszcz lał strumieniami. Przyszedł do domu cały przemokły, błotem zbryzgany, z wielkiem zadziwieniem żony, która zobaczywszy go zawołała: Gdzieś podział karetę?—Karetę?—odezwał się Hogarth,—ach! zupełnie o niej zapomniałem!

P e r ł a.

Młody Indyjczyk modlił się pod bananasowem drzewem na morskiem wybrzeżu: »O Bramo!— mówił — tyś wszechmocny, tyś dobry! uczyń mię szczęśliwym!....« Brama prośby jego wysłuchał: wał morski wyrzucił pod jego nogi muszlę na pół otwartą, i słaby głos usłyszał obok siebie: »Wybieraj, ta muszla uczyni ciebie szczęśliwym!« Młodzieniec otworzył muszlę, kryjącą w sobie perłę najdroższą; lecz nie zastanowiwszy się, porzucił ją na piaski morskie, gdyż mieniący blask kolorów muszli całą jego ściągnął uwagę. Inny młodzieniec, który umiał rzeczy po prawdziwej cenić wartości, znalazł perłę, podjął ją starannie i kupił za nią tron indyjski, gdyż nieocenionej była wartości. — Jak głęboka prawda ukryta jest w tej wschodniej bajce!

S z a r a d a.

Pierwsze wraz z *trzeciem* zbyt często, niestety!
Wyściela owe zwodnicze koleje,
Po których człowiek wyściga nadzieje,
A znajdzie *wszystko*, gdy sta nie u n e

*

Drugie i *trzecie* co wieczór, co ranek
Z łona się gajów ku niebiosom wzbija;
Wznosi go również szczęśliwy kochanek,
Jak ten, którego me *wszystko* zabija.

*

Kiedy lubemu, za starania długie,
Piękność wyrzecze za odpowiedź całą:
Me *trzecie*, *pierwsze*, a do tego *drugie*,
Jakąż to *wszystko* go przeszyje strzałą!
